



Moja
OSTATNIA
KSIĘŻNA

POWIEŚĆ SCENARZYSTKI SERIALU WIKTORIA

DAISY GOODWIN

MARGINESY

My Last Duchess

COPYRIGHT © Daisy Goodwin Productions 2010

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Maria Jaszczurowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
WARSZAWA 2019

*Dla mojego ojca
Richarda Goodwina
– czytelnika idealnego*

Oto ma księżna ostatnia namalowana na ścianie.

Moja ostatnia księżna, Robert Browning

Amerykanka ma pewną przewagę nad angielską siostrą,
gdyż posiada wszystko to, czego tej drugiej brak.

„Titled Americans”, 1890

LADY FERMOR-HESKETH

PANNA FLORENCE EMILY SHARON, córka świętej pamięci senatora Williama Sharona z Nevady

Ur. 186-

W 1880 roku poślubiła SIR THOMASA GEORGE'A, siódmego baroneta FERMOR-HESKETH, urodzonego 9 maja 1849 roku, majora 4. batalionu Pułku Królewskiego; dawniej szeryfa Northamptonshire, obecnie również piastującego stanowisko wiceprzedstawiciela Korony oraz sędziego pokoju w hrabstwie.

Potomstwo:

Thomas, ur. 17 listopada 1881 r.

Frederick, ur. w 1883 r.

Posiadłości: Rufford Hall, Omskirk oraz Easton Neston, Towcester

Tytuł istnieje od roku 1761.

Ród ten ma siedzibę w Lancashire od siedmiuset lat.

Lista amerykańskich dam, które poślubiły utytułowanych cudzoziemców, „Titled Americans”, 1890.

SPRZEDAWCA KOLIBRÓW

NEWPORT, RHODE ISLAND, SIERPIEŃ 1893 ROKU

Pora odwiedzin dobiegała już końca, więc sprzedawca kolibrów nie napotkał wielu powozów, gdy pchał wózek wąską dróżką biegnącą między posiadłościami w Newport a Atlantykiem. Tego popołudnia damy z Newport dość wcześnie zostawiały bilety wizytowe – niektórym zależało na czasie, by przygotować się do ostatniego i najważniejszego balu w sezonie, pozostałe zaś pragnęły sprawić takie wrażenie. Gwar i hałas, jakie zwykle panowały na Bellevue Avenue, zdążyły umilknąć, a posiadłość pod numerem czterysta wydawała się oczekiwać w napięciu na niezapomniany wieczór. Poniżej rozlegał się jedynie szum fal uderzających o skały. Ostre słońce chyliło się już ku zachodowi, ale ostatnie promienie wciąż jeszcze odbijały się od bielonych fasad okazałych domów stojących wzdłuż klifu. Posiadłości przypominały wystawę tortów weselnych; każda z nich starała się przyćmić swoich sąsiadów przepyszными ornamentami. Sprzedawca kolibrów odziany w zakurzony frak i zniszczony szary melonik – ubiór, który miał choćby mgliście przywozić na myśl elegancki wieczorowy strój – nie przystanął jednak, by podziwiać werandę w Breakers, wieżyczki w Beaulieu czy fontanny przed Rhineland, które przy odrobinie wysiłku dało się dostrzec przez cisowy żywopłot i złożone bramy. Maszerował ulicą, pogwizdując i cmokając na ptaki siedzące w klatkach zakrytych czarnym płótnem. Chciał, by jego podopieczni podczas ostatniej podróży słyszeli znajome dźwięki. Zmierzał do francuskiego château niedaleko cypla:

zdecydowanie najokazalszej i największej posiadłości na ulicy, przy której stały same wspaniałości. Oto przed nim Sans Souci, letnia rezydencja rodziny Cashów. Na jednej z wież powiewała angielska flaga, a na drugiej – herb rodu.

Sprzedawca przystanął przy bramie. Portier skierował go do wejścia do stajni, niecały kilometr dalej. Idąc na drugą stronę rezydencji, sprzedawca zauważył blask pomarańczowych światełek, które nagle rozświetliły mrok – lokaje chodzili już po domu i po ogrodzie, zapalając bursztynowe chińskie latarnie. Minąwszy taras, oszołomiony sprzedawca dostrzegł w wysokich oknach sali balowej odbicie ostatnich promieni słońca chowającego się za horyzontem.

Zdaniem gości, którzy odwiedzili Wersal, Sala Lustrzana w rezydencji państwa Cashów przewyższała swoim przepychem oryginał. Pani Cash, wysławszy uprzednio aż osiemset zaproszeń na dzisiejszy bal, teraz podziwiała własne odbicie w setkach luster. Zniecierpliwiona, tupiała nogą, czekając, aż słońce całkiem zajdzie i będzie mogła zobaczyć swoją kreację w pełnej okazałości. Obok niej stał pan Rhinehart. Na czole perliły mu się krople potu, jednak nie spowodował ich wyłącznie upał.

– Mam nacisnąć ten gumowy zawór i wtedy wszystkie światełka zapłoną?

– Owszem, pani Cash. Trzeba mocno ścisnąć tę główkę, a wszystkie lampki zapłoną iście niebiańskim blaskiem. Pozwolę sobie jednak zaznaczyć, że mogą tak świecić tylko przez krótką chwilę. Bateria są kłopotliwe, więc na sukni umieściłem ich jedynie tyle, by nie blokować pani ruchów.

– Jak krótką chwilę ma pan na myśli, panie Rhinehart?

– Trudno powiedzieć, ale prawdopodobnie nie dłużej niż pięć minut. Po upływie tego czasu nie będę mógł zagwarantować pani bezpieczeństwa.

Pani Cash już go jednak nie słuchała. Ograniczenia jej nie interesowały. Różowy blask zachodzącego słońca powoli ustępował miejsca szarości zmierzchu. Już czas. Kobieta zacisnęła lewą dłoń na gumowej gruszcze i usłyszała delikatny trzask, gdy sto dwadzieścia żarówek na sukni oraz pięćdziesiąt kolejnych w diademie za-

iskrzyło się jasnym blaskiem. Wyglądało to tak, jakby w lustrzanej sali balowej wystrzeliło kilkadziesiąt drobnych fajerwerków.

Pani Cash obróciła się powoli. Przypomniała sobie jachty w przystani Newport, oświetlone z okazji niedawnej wizyty cesarza Niemiec. Z tyłu kreacja prezentowała się równie okazale jak z przodu. Tren opadający płynnie z ramion przypominał pas rozgwieżdżonego nieba. Kobieta z zadowoleniem skinęła głową w lśniącym diademie i rozluźniła dłoń. W sali znów zapadł mrok, który rozproszyły dopiero światła kandelabrow zapalonych przez lokaja.

– Właśnie o taki efekt mi chodziło. Proszę mi przysłać rachunek.

Elektryk otarł czoło chusteczką, której czystość pozostawiała nieco do życzenia, po czym skłonił się naprędce i odwrócił do wyjścia.

– Panie Rhinehart! – Mężczyzna zamarł w pół kroku na wypoleowanym parkiecie. – Ufam, że zachował pan pełną dyskrecję, tak jak prosiłam.

To nie było pytanie.

– Ma się rozumieć, pani Cash. Zrobiłem wszystko sam, dlatego całość skończyłem dopiero dzisiaj. Ślęczałem nad tym cackiem wieczorami, kiedy z pracowni wyszli już wszyscy pomocnicy.

– Doskonale.

– Odprawivszy w ten sposób elektryka, pani Cash odwróciła się i oddaliła na drugi koniec Sali Lustrzanej, gdzie czekało już na nią dwóch lokajów. Pan Rhinehart zaś zszedł w dół po marmurowych schodach. Jego spocona dłoń zostawiła na zimnej balustradzie wilgotny ślad.

W Pokoju Błękitnym Cora Cash próbowała skupić się na lekturze książki. Z trudem wczuwała się w większość powieści – nie znajdowała w sobie ani odrobiny sympatii do nijakich guwernantek – lecz ta wydawała się obiecująca. Bohaterka była dla odmiany „atrakcyjna, mądra i bogata” – czyli właśnie taka jak Cora. Sama Cora doskonale wiedziała, że jest atrakcyjna – nie na darmo przecież wszystkie gazety opisywały ją jako „boską pannę Cash”. Oprócz tego na pewno odznaczała się mądrością – znała trzy języki i dobrze radziła sobie z rachunkami. Jej bogactwo zaś nie budziło najmniejszych wątpli-

wości. Nawet Emma Woodhouse nie była aż tak bogata jak ona, Cora Cash. W końcu Emma Woodhouse nie sypiała na *lit à la polonaise*, które stanowiło niegdyś własność madame du Barry, i nie mogła pochwalić się sypialnią, która gdyby nie ledwie wyczuwalny zapach farby mogłaby uchodzić za wierną replikę komnaty Marii Antoniny w Le Petit Trianon. Emma Woodhouse chodziła na przyjęcia z tańcami w bawialniach, a nie na kostiumowe bale wydawane w specjalnie w tym celu budowanych salach. Emma Woodhouse jednak nie miała matki, a to oznaczało – pomyślała Cora – że była atrakcyjna, mądra, bogata i wolna. Tego samego nie dało się powiedzieć o Corze, która w tej chwili trzymała książkę przed sobą w wyprostowanych rękach, bo do jej kręgosłupa przyczepiony został stalowy pręt. Ramiona zdążyły ją rozboleć i nade wszystko pragnęła położyć się na łożu madame du Barry, ale jej matka uważała, że Cora powinna codziennie spędzać dwie godziny z prętem do prostowania kręgosłupa, bo to poprawi jej postawę i nada posturę godną księżniczki – amerykańskiej co prawda, ale zawsze jednak księżniczki. Na razie zatem Cora nie miała wyboru i musiała czytać powieść w okrutnym dyskomforcie.

Dziewczyna wiedziała, że właśnie w tej chwili jej matka sprawdza stół nakryty do kolacji, jaką wydawała przed balem, poprawiając to i owo, by ponad czterdzieścioro gości odczuło bez jakichkolwiek wątpliwości, że świecą niczym wyjątkowe gwiazdy na firmamencie towarzyskim pani Cash. Zaproszenie na bal kostiumowy u pani Cash już samo w sobie stanowiło wyróżnienie, lecz zaproszenie na kolację, która ów bal poprzedzała, oznaczało nie lada zaszczyt i niełatwo było zaskarbić sobie aż tak wielką łaskę. Pani Cash lubiła podczas kolacji zajmować miejsce naprzeciwko męża, odkąd dowiedziała się, że książę i księżna Walii zawsze siadywali naprzeciwko siebie przy długich bokach stołu, nie zaś u szczytu. Cora wiedziała, że sama zostanie posadzona przy końcu stołu, między dwoma odpowiednimi kawalerami, z którymi ma flirtować na tyle intensywnie, by potwierdzić reputację królowej sezonu, lecz z wyczuciem, by nie zaszkodzić planom, które matka wiązała z jej przyszłością. Pani Cash wydawała bal po to, by pochwalić się Corą niczym cennym klejnotem, który można podziwiać, lecz absolutnie nie wolno

go dotyczyć. Klejnot ten zasługiwał bowiem co najmniej na książęcy diadem.

Zaraz po balu państwo Cash wyruszyli w podróż do Europy na pokładzie swojego statku SS „Aspen”. Pani Cash powstrzymała się przed wulgarnym gestem, jakim byłoby oficjalne potwierdzenie, jakoby do Europy wybierali się po tytuł szlachecki dla Cory. W przeciwieństwie do niektórych mieszkanek Newport pani Cash nie prenumerowała kwartalnika „Titled Americans”, w którym podawano nazwiska utytułowanych, choć niezbyt zamożnych młodych ludzi z Europy poszukujących bogatych żon w Ameryce. Cora jednak wiedziała, że ambicje jej matki nie mają granic.

Dziewczyna odłożyła książkę i poprawiła się w niewygodnej uprząży na kręgosłupie. Chyba już czas, żeby przyszła Berta i ją wyswobodziła. Pasek na czole zaczynał wrzynać się Corze w skórę. Z czerwonym śladem nad brwiami będzie wyglądała idiotycznie. Z jednej strony nie protestowałaby przeciwko temu, bo z pewnością pokrzyżowałoby to plany jej matce. Cora miała jednak powody, by tego wieczoru wyglądać olśniewająco. Dziś nadarzała jej się ostatnia szansa na spotkanie z Teddym przed wyjazdem do Europy. Wczoraj na pikniku byli już tak blisko, że Teddy prawie chciał ją pocałować, ale zanim do czegośkolwiek doszło, przyłapała ich jej matka. Cora uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie własnej matki, która wściekle pedałowiała, usiłując ich dogonić. Pani Cash uważała, że rowery są dla łobuzów, lecz w pewnym momencie zorientowała się, że córka chętnie korzysta z roweru, by jej się wymknąć, i sama tak się zawzięła, że w jedno popołudnie nauczyła się jeździć. Tak, Cora może i była najbogatszą dziewczyną w Ameryce, ale z pewnością też najpilniej strzeżoną. Dziś miał nastąpić jej debiut towarzyski, a tymczasem tkwiła w tym diabelskim narzędziu tortur. Na pewno już czas, by się z niego wyzwolić. Wyprostowała się sztywno i zadzwoniła po służbę.

Berta była w kuchni razem ze sprzedawcą kolibrów. Pochodzili z tego samego miejsca w Karolinie Południowej i co roku, kiedy mężczyzna dostarczał damom z Newport ich ulubioną atrakcję na

przyjęcia, przywoził też Bercie wieści od rodziny, a właściwie od jeszcze żyjących jej członków. Służąca po raz ostatni widziała się z nimi tamtego dnia dziesięć lat temu, kiedy to wielebny przyjechał, by zabrać ją na Północ, lecz czasami, idąc przez kuchnię w dniu, gdy pieczono ciasta, wdychała gorący, słodki zapach i oczyma wyobraźni widziała matczyną spódnicę w biało-niebieskie paski. Teraz prawie nie pamiętała już twarzy matki, ale dzięki temu zapachowi w okamgnieniu przenosiła się myślami do starej chaty, a oczy zachodziły jej łzami. Na początku wraz z prezentami wysyłała pieniądze i listy, licząc na to, że matka znajdzie kogoś, kto je przeczyta, ale potem zarzuciła ten zwyczaj, bo nie chciała, by ktoś obcy czytał mamie sekrety, które sama kryła w sercu.

– Mamuśka kazała ci powiedzieć, że wuj Ezra nie żyje – powiedział sprzedawca kolibrów, zdejmując melonik, prawdopodobnie w geście szacunku, lecz może i po to, by szlachetna płaszczyzna jego czaszki zrobiła na Bercie odpowiednie wrażenie.

Berta skłoniła głowę. Jak przez mgłę pamiętała, że wuj Ezra niósł ją na barana do kościoła. Zastanawiała się wtedy, czy bezpiecznie trzymać się włosów, które rosły mu w uszach.

– Miał piękny pogrzeb; nawet pani Calhoun przyszła.

– A jak się ma mamusia? Nosi ten szal, który jej posłałam? Proszę jej powiedzieć, że pani przywiozła go z Europy.

– Oczywiście, przekażę... – Sprzedawca kolibrów urwał i spojrział na podłogę, na zakrytą czarnym całunem klatkę, w której spały ptaki. Berta wiedziała, że coś jest nie tak; mężczyzna chciał jej coś powiedzieć, ale najwidoczniej nie mógł znaleźć właściwych słów. Powinna pomóc, zadać pytanie, które pozwoliłoby mu zrzucić z serca ten ciężar, ale ogarnęła ją przedziwna niechęć. Chciała nadal pamiętać matkę w niebiesko-białej spódnicy, ciepłą, słodką, całą i zdrową.

Gdzieś w tylnej części kuchni rozległ się trzask. Kolibry poruszyły się, a trzepot ich skrzydełek w krótkim locie donikąd zabrzmiał w powietrzu niczym seria westchnień.

– W jakim są kolorze tym razem? – zapytała Berta, ciesząc się ze zmiany tematu.

– Powiedziano mi, że wszystkie mają być złote. Nie przyszło mi to łatwo. Kolibry nie lubią, jeśli je malować. Niektóre po prostu się poddają; kładą się, by już nigdy nie wzlecieć.

Berta uklękła i podniosła zasłonę. Widziała, jak w ciemności porusza się coś jaskrawego. Kiedy wszyscy goście siądą dziś wieczorem do kolacji, ptaki zostaną wypuszczone do ogrodu zimowego niczym złoty deszcz. Przez całe dziesięć minut wszyscy będą rozmawiać wyłącznie o kolibrach; młodzi kawalerowie będą próbowali je złapać, by podarować je dziewczętom, z którymi flirtowali. Pozostałe damy pomyślą z wyrzutem, że Nancy Cash nie cofnie się przed niczym, byle zrobić wrażenie, a nad ranem pokojówki sprzątną małe złote ciałka i wyniosą na śmietnik.

– Czy mamusia przekazała dla mnie jakąś wiadomość, panie Samuele? Czy coś się stało? – zapytała cicho Berta.

Sprzedawca kolibrów mówił teraz do swoich ptaków – wydawał delikatne dźwięki, po czym cmoknął językiem i spojrzął ze smutkiem na służącą.

– Kazała ci powtórzyć, że wszystko jest w porządku, ale to nieprawda, Berto. Nie jest dobrze. Pani matka jest teraz tak chuda, że wygląda, jakby miał ją porwać najbliższy huragan. Marnieje w oczach. Jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć, lepiej się pospiesz.

Berta spuściła wzrok i spojrzała na ptaszki, które rzucały się w klatce, migocząc niczym sztuczne ognie. Uniosła dłoń i przeczesowała włosy, choć gładko przylegały do głowy. Włosy jej matki były kędzierzawe – przez cały czas musiała je upychać pod chustką. Berta wiedziała, że sprzedawca kolibrów chciałby zobaczyć, że jego słowa wywołały w niej jakieś emocje, a przynajmniej łzy. Berta jednak od lat nie płakała. Dokładniej mówiąc, od dziesięciu lat, czyli odkąd przyjechała na Północ. Bo i po co? W końcu i tak nic nie mogła poradzić. Wiedziała, że jej samej dopisało szczęście w przeciwieństwie do wielu innych kolorowych dziewcząt, które najęły się jako służba. Odkąd została pokojówką panienki Cory, próbowała mówić, ubierać się i zachowywać tak samo jak ona, na ile tylko mogła. Pamiętała pokryte odciskami dłonie własnej matki. Nie, nie potrafiła teraz spojrzeć na sprzedawcę kolibrów.

Dzwonek w Pokoju Błękitnym znów zadzwieczał. Z kuchni wyszła jedna ze służących i zawołała:

– Panienska Cora już drugi raz dzwoni, lepiej zabieraj się na górę, Berta!

Berta aż podskoczyła.

– Muszę iść. Później pana znajdę, jak bal już się rozpocznie. Proszę nigdzie nie odchodzić, dopóki nie wrócę.

Pod pełnym powagi tonem Berta próbowała ukryć ulgę, jaką poczuła, gdy przerwano im tę rozmowę.

– Będę czekał, Berto – przytaknął sprzedawca kolibrów.

Dzwonek zadzwieczał jeszcze raz. Berta szła na górę tak szybko, jak jej na to pozwalano. Bieganie było zabronione. Jedną z pokojówek zwolniono za to, że zbiegała po dwa schody naraz. Pan Simmons, lokaj, powiedział, że to oznaka braku szacunku.

Pokojówka zapukała do Pokoju Błękitnego i weszła do środka. Sfrustrowana Cora z trudem powstrzymywała łzy.

– Gdzie się podziewałaś, Berto? Dzwoniłam już chyba ze trzy razy. Uwolnij mnie z tego piekielnego wynalazku.

Dziewczyna szarpała za skórzane paski okalające jej ciało. Przyrząd do prostowania pleców, wykonany według projektu samej pani Cash, miał wszystkie zapięcia z tyłu, więc nie dało się z niego samodzielnie wyswobodzić.

Berta usiłowała załagodzić sytuację.

– Przepraszam, panienko, sprzedawca kolibrów przywiózł dla mnie wieści z domu. Chyba nie słyszałam dzwonka.

Cora parsknęła.

– To żadna wymówka: wysłuchiwanie plotek, kiedy ja siedzę tu spętana niczym kurczak.

Berta nie rzekła już ani słowa. Zaczęła rozpinąć sprzączki. Czowała, że jej pani aż drży ze zniecierpliwienia. Gdy tylko wyswobodziła się z uprzęży, otrząsnęła się jak mokry pies, po czym odwróciła się i chwyciła Bertę za ramiona. Pokojówka szykowała się na ostrą reprymendę, ale ku jej zaskoczeniu Cora się uśmiechnęła.

– Chciałabym, żebyś mi powiedziała, jak całować się z mężczyzną. Wiem, że to potrafisz, bo widziałam cię po balu u Vandeme-

yerów z ich lokajem. – W oczach Cory pojawił się gorączkowy blask. Berta cofnęła się o krok.

– Ale tego się chyba nie da powiedzieć – odparła powoli, grając na zwłokę. Czy panienka powie matce o niej i o Amosie?

– No to mi pokaż. Muszę wiedzieć, jak to się robi – powiedziała energicznie Cora i nachyliła się nad Bertą. Gdy schyliła głowę, jeden z ostatnich promieni zachodzącego słońca padł na jej kasztanowe włosy, które rozgorzały teraz niczym płomień.

Berta starała się nie kulić.

– Naprawdę chce panienka, żebym ją pocałowała tak, jak całuje się mężczyźnę?

Panienka Cora nie mówiła chyba poważnie.

– Tak, tak, tak. – Zniecierpliwiona Cora potrząsnęła głową. Na jej czole wciąż jeszcze widniał czerwony ślad po uprząży.

– Ależ panienko, to niezgodne z naturą, żeby dwie kobiety się całowały. Gdyby ktokolwiek nas tak zobaczył, wyrzucono by mnie bez słowa.

– Oj, nie bądź taka przewrażliwiona. A gdybym ci dała pięćdziesiąt dolarów? – Cora uśmiechnęła się kusząco, jak gdyby proponowała dziecku cukierka.

Berta zastanowiła się. Pięćdziesiąt dolarów – tyle zarabiała przez dwa miesiące. Ale całowanie się z kobietą i tak wydawało się nie w porządku.

– Chyba nie powinna mnie panienka o to prosić. Tak się nie godzi. – Berta próbowała wysławiać się elegancko, jak pani domu. Wiedziała, że Nancy Cash to jedyna osoba na świecie, której Cora się boi. Dziewczyna jednak nie dała się łatwo wystraszyć.

– Myślisz, że ja naprawdę mam ochotę całować ciebie? Jest ktoś, z kim chcę się dzisiaj całować, i muszę wiedzieć, czy robię to dobrze. – Zdeterminowana Cora znów potrząsnęła głową.

– No cóż... – Berta wciąż się wahała.

– Siedemdziesiąt pięć dolarów – kusila Cora. Berta wiedziała, że długo nie wytrwa w swoim postanowieniu. Jak już panienka się na coś uprze, to nie ma siły. Cora będzie nalegała, dopóki nie dostanie tego, czego chce. Tylko pani Cash potrafiła odmówić

córcie. Berta uznała, że skoro tak, może przynajmniej wykorzystać sytuację.

– Zgoda, panienko. Pokażę, jak się całuje z mężczyzną, ale jeśli nie ma panienka nic przeciwko temu, wolałabym dostać te siedemdziesiąt pięć dolarów od razu.

Berta dobrze wiedziała, że pani Cash nie daje córce pieniędzy, więc nie bez powodu miała wątpliwości. Panienka Cora często składała obietnice, których później nie dotrzymywała. Ku zaskoczeniu Berty Cora wyjęła spod poduszki portmonetkę i odliczyła obiecaną sumę.

– No to jak, na chwilę zapomnisz o skrupułach? – zapytała, podsuwając dziewczynie banknoty.

Pokojówka zawahała się przez moment, lecz wzięła pieniądze i schowała je pod gorsetem. Siedemdziesiąt pięć dolarów powinno wystarczyć, żeby sprzedawca kolibrów przestał się jej tak przyglądać. Berta westchnęła, nieufnie wzięła w dłonie zarumienione policzki Cory i lekko pochyliła głowę w jej stronę. Delikatnie przycisnęła wargi do ust swojej pani, po czym szybciotko się cofnęła.

Cora zachnęła się zniecierpliwiona.

– Nie, masz to zrobić porządnie. Widziałam cię z tamtym mężczyzną. Wyglądaliście, jakbyście... – Urwała, szukając właściwego słowa. – Jakbyście chcieli się zjeść.

Tym razem położyła pokojówce dłonie na ramionach, sama przyciągnęła do siebie twarz Berty i pocałowała ją w usta najmocniej jak umiała.

Berta niechętnie wsunęła język w usta swojej pani i delikatnie obwiodła nim jej wargi. Poczowała, że panienka zeszywniała zaskoczona, po czym odpowiedziała na pocałunek, wsuwając język między jej zęby.

Berta wyrwała się jako pierwsza. Całowanie się z Corą nie okazało się nieprzyjemne. Żaden pocałunek do tej pory nie smakował jeszcze tak słodko. Było nawet lepiej niż z Amosem, od którego bił zapach przeżutego tytoniu.

– Smakujesz tak trochę... pikantnie – powiedziała Cora, wycierając usta koronkową chusteczką. – I co, i tyle? O niczym nie zapo-

mniałaś? Mówiłam, że muszę to robić dobrze – dodała i spojrzała na Bertę z powagą.

Berta nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak można być tak dobrze wykształconym, a jednocześnie tak mało wiedzieć o życiu. To wszystko wina pani Cash, ma się rozumieć. Wychowała Corę na przepiękną lalkę. Sama Berta na pewno nie protestowałaby przeciwko fortunie i urodzie Cory, ale na pewno nie chciałaby mieć takiej matki jak ona.

– Jeśli chodzi panience tylko o całowanie, to chyba tyle w zupełności wystarczy – odparła stanowczo Berta.

– Nie zapytasz mnie nawet, o kogo chodzi? – zdziwiła się Cora.

– Z przeproszeniem, panienko, ale nie chcę wiedzieć. Gdyby pani się dowiedziała, co panience chodzi po głowie...

– Ale się nie dowie. A raczej jak już się dowie, to będzie o wiele za późno. Dziś wieczorem wszystko się zmieni.

Cora spojrzała na pokojówkę z ukosa, jakby chciała, żeby Berta zapytała ją o szczegóły. Dziewczyna jednak nie dała się wciągnąć w rozmowę. Dopóki nie zadawała pytań, nie można było wydobyć z niej odpowiedzi. Spojrzała na Corę bez wyrazu.

Ta straciła już jednak zainteresowanie służącą. Patrzyła teraz na własne odbicie w wielkim obrotowym lustrze w złoconej ramie. Po pocałunku wszystko samo się ułoży. Ogłoszą zaręczyny, a do Bożego Narodzenia będą już po ślubie.

– Lepiej przyszykuj mi strój, Berto. Matka lada moment tu będzie i sprawdzi, czy wypełniłam jej instrukcje co do słowa. Nie mogę uwierzyć, że muszę założyć coś tak obrzydliwego. Choć Martha van der Leyden mówiła, że jej matka kazała jej się przebrać za purytańską służącą, więc chyba mogło być gorzej.

Suknia Cory została wykonana na wzór kreacji hiszpańskiej infantki z płótna Velázquez. Pani Cash kupiła ten obraz, bo słyszała, że zachwycała się nim pani Astor.

Gdy Berta wyjmowała z szafy okazałą krynolinę, zastanawiała się, czy wybierając strój dla córki, pani kierowała się tylko wrazeniem artystycznym, czy też celowo chciała, by kreacja jak najbardziej ograniczała dziewczynie ruchy. Żaden kawaler nie zdoła zbliżyć się

do Cory na odległość mniejszą niż metr. Cała lekcja całowania pewnie pójdzie na marne.

Berta pomogła Corze przebrać się z podomki w fortugał. Cora musiała włożyć stelaż, a Berta ściągnęła jego poły, jakby zamykała bramę. Brokatowy jedwab, z którego wykonano suknię i gorset, sprowadzono aż z Lyonu. Materiał był ciężki i gęsto tkany. Cora założyła się, gdy służąca założyła jej suknię na fortugał. Wystarczyłoby lekko pchnąć, żeby całkiem straciła równowagę. Suknia miała metr szerokości, więc Cora będzie musiała przez wszystkie drzwi przechodzić bokiem. Walc w tej sytuacji nie wchodził w grę.

Berta uklękła i pomogła Corze założyć brokatowe pantofelki na niedużym obcasie i z zadartymi noskami. Cora zaczęła się chwiać.

– Nie mogę ich nosić, Berto. Przewróć się. Przynies mi te brązowe na płaskim obcasie.

– No, jeśli panią jest pewna, że... – zaczęła pokojówka.

– Moja matka spodziewa się dziś ośmiuset gości – przerwała jej Cora. – Wątpię, by znalazła czas na sprawdzanie mi butów. Podaj pantofle.

Słowa Cory zabrzmiały odważnie, ale dziewczęta dobrze wiedziały, że nic nigdy nie uchodzi uwadze pani Cash.

Nancy Cash po raz ostatni spojrzała na swój strój. Nie założyła jeszcze nic na szyję ani nie ozdobiła uszu. Nie miało to jednak wspólnego z surowością czy skromnością – kobieta wiedziała, że lada moment zjawi się jej mąż i przyniesie jakąś „małą niespodziankę”, którą będzie musiała założyć, by goście mogli podziwiać nowy klejnot. Winthrop ostatnio spędzał sporo czasu w mieście, a to oznaczało, że „mała niespodzianka” będzie jak najbardziej na miejscu. Niektóre kobiety wykorzystywały niewierność mężów do poszerzenia granic własnej wolności, ale pani Cash ostatnie pięć lat spędziła, strząsając z sukni mąkę przednią marki Cash, więc za nic nie chciałaby zszargać świeżo zyskanej reputacji najwytworniejszej pani domu w Newport i na Piątej Alei, na którą tak ciężko pracowała. Nie, rozwód nie wchodził w grę. Dopóki Winthrop zachowywał dyskrecję, była gotowa udawać, że nic nie wie o jego zamiłowaniu do opery.

Jednak niekiedy brakowało jej tego optymizmu i wyważenia. Na początku małżeństwa niechętnie spuszczała męża z oczu, obawiając się, że swoim porozumiewawczym uśmiechem obdarzy kogoś innego. W tamtych czasach żadne klejnoty nie znaczyły więcej od zamglonego spojrzenia Winthropa. Teraz jednak miała córkę, domy i była panią Cash. Liczyła na to, że tym razem Winthrop przyniesie diamenty. Będą pasowały do stroju na dzisiejszy wieczór.

Rozległo się stukanie do drzwi i do pokoju wszedł Winthrop Rutherford II. Miał na sobie satynowe bryczesy, pas lśniący od brokatu i pudrowaną perukę w stylu Ludwika XV. Jego ojciec może zaczynał jako stajenny, ale syn całkiem przekonująco udawał władcę z dynastii Burbonów. Pani Cash z zadowoleniem pomyślała, że mąż w swoim stroju wygląda niezwykle dystygowanie. Niewielu mężczyzn dobrze prezentowało się w jedwabnych pończochach. Tak, razem będą stanowili piękną parę.

Pan Cash odchrząknął nerwowo.

– Wyglądasz cudownie dziś wieczorem, moja droga. Kto by pomyślał, że to ostatni bal w tym sezonie? Czy mogę coś dodać do tej doskonałości?

Pani Cash wyciągnęła szyję, jakby szykowała się pod katowski topór. Winthrop wyjął z kieszeni diamentową kolicę i zapiął ją żonie.

– Jak ty mnie dobrze znasz. Miałaś rację, to naszyjnik – powiedział.

– Dziękuję, Winthropie. Jak zawsze wykazałeś się wspaniałym gustem. Do tego załóżę kolczyki, które podarowałeś mi ostatniego lata. Będą doskonale pasować. – Bez chwili wahania sięgnęła do jednego z safianowych pudełek stojących na toaletce. Winthrop nie po raz pierwszy pomyślał, że żona chyba czyta mu w myślach.

Z tarasu na dole popłynęły pierwsze dźwięki *Marsza Radetzkiego*. Pani Cash wyprostowała się i wyciągnęła ramię do męża.

– Wiesz, Winthropie, chciałabym, żeby dzisiejszy wieczór na długo zapamiętano.

Cash wiedział, że lepiej nie pytać, jak też goście mieliby zapamiętać ten wieczór. Jego żonę interesowało tylko jedno: absolutna doskonałość.



PRZEŁOM XIX I XX WIEKU.

Cora Cash, piękna dziedziczka ogromnej fortuny,
jest najbogatszą panną w Ameryce.

Wychowała się w domu wzorowanym na Wersalu,
a na jej debiutancki bal przyszło ośmiuset gości.

Jest pewna, że wszystkie drzwi stoją przed nią otworem.

Jednak gdy matka zabiera ją do Anglii, by tam znaleźć

dla niej odpowiednio urodzonego narzeczonego,

Corę spotyka rozczarowanie: szybko dostrzega,
że wspaniałymi angielskimi posiadłościami rządzą

intrygi i plotki, a tamtejsze wyższe sfery są pełne

pułapek. Na dodatek tajemniczy Ivo, za którego Cora

wychodzi za mąż, wcale nie okazuje się księciem z bajki.

Wkrótce dziewczyna boleśnie się przekona, że pieniądze

to nie wszystko. I będzie musiała zdecydować,

co tak naprawdę się liczy – i w życiu, i w małżeństwie.

INTELLIGENTNA OPOWIEŚĆ O PRZEPAŚCI
DZIELĄCEJ STARY I NOWY ŚWIAT... I O KOBIECIE,
KTÓRA PRÓBUJE JE POŁĄCZYĆ.

THE GUARDIAN

w sprzedaży także

www.marginesy.com.pl



9 788366 140967

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl